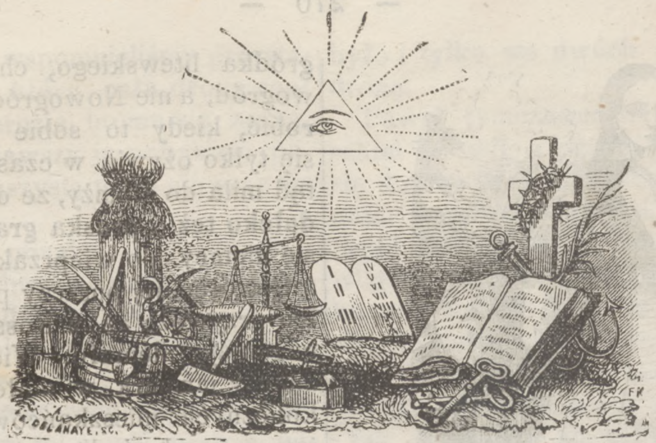
ROK PIĄTY.

№ 33.

WARSZAWA

d 31 lipca (12 sierpnia)

1860.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.

11ta po Świątkach.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Dobrego uczynku, któryś umyślił, nie odkładaj, bo od poranku do wieczora czas się odmienia, a serce twe na inną stronę udać się może. (*Czytania Bractwa Miłosierdzia na każdą Niedzielę roku przez X. P. Skargę*).

Najpiękniejsza.

Najpiękniejsza dziewczyna, gdy przy matki kolanie
Wtórzy: Boże o Boże, to znów Panie o Panie!
Zmiłujże się nad nami i spraw tę ziemię rajem,
We łzach cichej modlitwy wciąż przed tobą się kajem.

Najpiękniejsza dziewczyna, kiedy nikt jej nie widzi,
Kiedy płacze i skacze i tego się nie wstydzi;
Nie wie, kiedy wesoła, nie wie, czemu i smutna,
Śmieszka, ptaszek, śpiewaczka, swawolnica okrutna!

Bez muzyki tańcuje po murawie trawnika,
A na co jej muzyki?.. ona sama muzyka.
Dzieci za nią i przy niej, bo nic złego nie czyni,
Więc jak tylko wyleci, towarzyszą jej dzieci.

Podlatują koniki w bujnych trawach spłoszone,
W czyste wody przeźrocza skaczą żabki zielone;
Wszystko pierzcha na stronę przed dziewczyną wietrznicą,
A słoneczko aż pali, tak całuje jej lico!

Przelecieli do sadu, jak gołębie na daszek:
Naprzód ona i dzieci, potem motyl i ptaszek;
Same kwiaty się mnożą, same wiśnie się rodzą,
Z pośród których z ogrodu piękną pannę wywodzą.

Najpiękniejsza dziewczyna, gdy ją dziwny żal bierze,
Zamyśli się, zawzdycha i zapłacze tak szczerze;
Bo choć ludzie kochani, choć jej dobrze u mamy,
Jednak pierwszy raz widzi, że coś tęskno jej samej.

Zadzwonili z kościołka: ciszej w sercu panience,
Pochyliła swą główkę i złożyła dwie ręce;
I na chwilę się stała taka piękna, tak biała,
Jakby z nieba nie z ziemi, jakby z chmurki nie z ciała.



Najpiękniejsza dziewczyna, gdy u stopni ołtarza:
Tego oto małżonka bierzesz? biorę, powtarza,
A serduszko to stanie, to gwałtownie zapuknie,
Oj! serduszko niedobre, aż je widać przez suknię.
Zamienili pierścionki, dwa ze złota pierścionki,
Ten na palec małżonka, ten na palec małżonki,
Gdy ksiądz wiązał ich stułą, co to serce nie czuło!
Z niego życie się będzie jakby złota nić snuło.

Oj! poczciwe stworzenie, bardzo, bardzo poczciwe,
Czułe, dobre, wesołe, a do tego i żywe,
Przytem serce kochane litościwe na biednych;
Kilka muszek ma swoich, kilka grzeszków powszednich..
Za to piątek przepości i sobotę odsuszy,
A w niedzielę już świeżo, jak w kościele, w jej duszy!

Szlachcic i kurp'

—

(powieść)

Wielki był jarmark w Nowogrodzie—ale może mi się zapytacie, w którym, bo nie jedno jest miasto tego imienia. Otoż powiem wam, że w Nowogrodzie najniepozorniejszym ze wszystkich, mniejszym nawet od Nowogródka litewskiego, choć się całą gębą Nowogród, a nie Nowogródek nazywa. Lecz cóż robić, kiedy to sobie licha mieścina, która się tylko ożywia w czasie jarmarków. Ztamtąd mila do Łomży, ze dwie do Ostrołęki, niedaleko też i pruska granica; więc zjeżdzają się niemcy po wieprzaki na jarmark, kurpie z Ostrołęckiej puszczy przyciągają z płótnem, len przywożą aż z Rossyi, a bydła zewsząd naganiają niemało. Wiecie zapewne, co to znaczy jarmark w małem miasteczku dla okolicznych mieszkańców. Ten ma sprzedać jarzyn za złotówkę, więc jedzie i wyda marnie ze trzy złote; tamten podąża dla interesu, ale zabałamuciwszy się, zamiast interesu, zrobi burdę i nowego napędzi sobie kłopotu; ów znowu chce konia wymienić i często złapie jeszcze gorszego, dopłaciwszy... a wszyscy podchmieleni, weseli, rezolutni. Mało kto poczyna sobie w tym razie roztropnie, żeby sprzedawszy lub kupiwszy, co mu potrzeba i nagadawszy się ze znajomymi, wracał do domu. Bo też to spotkanie ze znajomymi czy z przyjaciołmi, to najzdradliwsza rzecz, jaka się przydarzyć może spokojnemu człowiekowi.

Z jednego kąta rynku Nowogrodzkiego ruszała właśnie fura, którą powoził sam gospodarz. Na tej furze na wpół leżący na wiązce siana był jakiś mularz podpiły, a z tyłu siedział przytomnie chwacki chłopak w kurpiowskim stroju.

W tym samym ku Piątkowszczyznie kierunku pełno także jechało i szło ludzi: jedni się wlekli, drzemiąc na swych wozach, drudzy napół rozmarzeni, a rozochoceni poganiali z krzykiem konie i pędzili, ile im tchu stało. Takim to już strach było się nawinąć, i każdy rozumny i trzeźwy ustępował z drogi. Było to jakoś po Nowym roku: ziemia nieokryta śniegiem, a zmarzła, warczała pod kołami wozów, księżyc zaszły chmurami przyświecał czasami, i wnet przy jego blasku wprost drogi, dostrzegli podróżni znajomą sobie dobrze karczmę w lesie, zwyczajne miejsce spoczynku dla wszystkich, co tam, lub napowrót do Nowogrodu jechali. Licha karczmina z dachem w mech porosłym, że go rozróżnić od zielonych sosien nie można było, teraz była otoczona pieszym i jezdnym ludem. Niejednemu tutaj pić się jeszcze zachciało, drugi poił kupione bydło lub konie.

I podróżni, o których wspomnieliśmy przystanęli; majster mularz, który całą drogę spał z odkrytą głową na mrozie, bo mu się zsunęła czapka, teraz wdziawszy ją nabakier, poszedł do izby, i z napuszystą miną ująwszy się pod boki, krzyknął:

— Szynkareczko, piwa!

— Niema piwa, odpowiedziała szynkarka, nalewając wódkę dla drugich.

— A! co to za kraj, gdzie piwa niema! No to dawaj wódki, a niech cię...

I rozsiadł się na ławie, rozglądając po karczmie, która została w tej chwili prawie pustą, gdyż wieśniacy napiwszy się, do swoich wozów i dobytku wracali.

— Paweł, krzyknął majster na parobka, chodź, napijesz się. Lecz zamiast Pawła, który był przy furze, pokazał się we drzwiach inny kurp' z wysokim sękatym kijem w ręku, z chodakami zamaczanemi, jakby się po jakich łamał lodach. Wszedł, mruknął „pochwalonego“ i usiadł na ławie, podpierając się łokciami na kolanach. Za nim wszedł chłop drugi tęgi, barczysty, z zarośniętą brodą, także w kusej sukmanie kurpiowskiej i w zamoczonem obuwiu; a gdy wszedł taki sam trzeci, czwarty i piąty, wszystko tęgie chłopy, to już myślałby kto, że to zmowa jaka na rozbój. Bo choć kurpie nie odznaczają się w ogólności bardzo wysokim wzrostem, lecz zdrowi, silnie zbudowani, a po większej części niedbale utrzymujący włosy i brodę, przybierają czasem postać groźną.

Jeden z nich kazał dać kwartę wódki, z której każdy napił się po kieliszku, a resztę zleli do flaszeczki.

— Z jarmarku? zapytała karczmarka.

— Nie, tu z drugiej strony, odpowiedział jeden, chcąc się pozbyć i zapytał o cenę leżących kukiełek żydowskich.

— Jakem szlachcic! rzekł majster pod nosem, tych ludzi nie chciałbym w nocy spotkać.

Wtem wszedł Paweł do izby, rozejrzał się i poznał swojaków.

— Toż to wy? zawołał, i oczy mu zaświeciły radością.

Potem zaczeły się między nimi długie szepty i narady. Paweł wyszedł pomówić z gospodarzem, wyszli i pięciu podróżni, a gdy majster wrócił do wozu, kilkakrotnie przez gospodarza wywoływany, to już Pawła nie było i tylko we dwóch pojechali w dalszą drogę.

Paweł tymczasem wraz z pięciu towarzyszami zeszedł z bitego gościńca, puszczając się dobrze znajomą ścieszką między leszczynami i innemi krzakami, co zagęszczaąjc tę część lasu, zwiastowały grunt inny, bardziej wilgotny, lub bliskość jakiej wody. Z początku szli pewnym krokiem w milczeniu jeden za drugim, bo drożynka ciasna była, a ogołocone z liści krzaki suchemi badylami oczom groziły. Wtem chmury zupełnie zakryły już i tak mroczący się księżyc i zwolna zaczął padać gruby, płaciasty śnieg, który ubielając drogę, krzaki i ludzi, zasunął przed niemi jakby mglistą firankę, poza którą o trzy kroki dojrzeć nie mogli.

— Jezus, Marja!.. nic i światu nie widać, odezwał się jeden.

— To się kierujcie węchem stary lisię, zażartował drugi.

— Ba!.. tutaj toby nawet nasz Michalski gorzałki nie zwietrzył, choć ma na nią węch tak dobry: śnieg bije, a bije w oczy.

I znowu milcząc, szli dalej, zsunęli się parową na jakąś łączkę i pólko, lecz i tam nie mogli rozejrzeć się lepiej; wszystko wokoło było tak jednostajne, białość śniegu z ciemnością nocy tak się łączyła w jednę szarą barwę, co im wzrok oszukiwała, że lubo w tych lasach wzrośli i znali prawie wszystkie drożynki, zawahali się wędrownicy, nie wiedząc dobrze, w którą udać się stronę.

— Toż to Jankowe pole? rzekł jeden.

— Jużci tak.

— No, więc teraz na lewo od rosochatej brzozy.

— Kto ją tam pozna tę rosochatę brzozę? Mnie się widzi, że się weźmy trochę naprawo.

Radzili, wybrali drożynę, która im się zdała najprostszą i szli dalej, kryjąc twarz przed śnieżna zamiecią między kołnierzem sukmany, a dużą zimową czapką na uszy natuloną.

— Oj! źle bracia, zawołał raptem naprzód idący.

Drudzy popodnosili głowy i przekonali się, że byli na miejscu ogołoconem z drzew, poprzecinanem parowami zbiegającemi do rzeczułki, która stanowiła granicę od strony Prus.

Przystanęli wszyscy zakłopotani, widząc, że

zbłądzili, a śnieżna zamieć coraz bardziej w oczy biła, i z silnym wiatrem doleciał do nich z krzaków nadbrzeżnych jęk jakiś żałobliwy.

— Jezus Marja! co to? zawołał Paweł, któremu włosy ze strachu powstały.

— Tośmy mądrze szli, powiedzieli tamci do siebie; trafiliśmy na to samo miejsce.

— A toć to nieco, tylko ten piekielnik woła.

— No, chodźmy dalej, dodał drugi.

— Tak, będziemy leźli, sami nie wiedząc jak, aż wleziemy na niego.

— Skaranie Boskie!... prowadźcież Szymku.

I uszli kilkanaście kroków. Znów między dwoma silniejszemi prądami wichru natężony słuch Pawła uchwycił jęk przeciągły, niby rozpaczliwe wołanie o ratunek.

— To człowiek woła, krzyknął przerażony.

— A cóżeś ty myślał, że diabeł?

— Człowiek, który pomocy potrzebuje. Wyraźnie nas Pan Bóg zaprowadził w tę stronę.

— Zjadłbyś licha! chłopcze, a nie mieszał się w nie swoje rzeczy.

— Jak to nie swoje?

— Widzisz, żeś głupi, choć umiesz na książce czytać.

Toć to tam strażnik tak wywołuje zmiłowania; ale czarci mu chyba na pomoc polecą.

— Chcesz, żeby zginął?

— Ba! lepiej, że on ginie jak my.

— Bo ty Pawle nic nie wiesz, jak my się tęgo sprawili, objaśnił drugi. Przechodziliśmy granicę na wypatrzonego, wiedząc, że jarmark w Nowogrodzie i że wszyscy strażnicy pójdą się tam upić, a my wtedy przemkniem się bezpiecznie; lecz ten Krempczak *psia wiara* miał nas na oku i czychał przy malowanym krzyżu. My sobie jakby nic przechodzimy z tobołami przez rzeczkę, aż tu ktoś woła: stój! i strzela. My dalej w nogi i łamiemy się na cienkim lodzie. Strach ma wielkie oczy; aż jeden z nas rozejrzawszy się, woła: toć on jeden, a nas sześciu. Więc my na niego, pozrucawszy z pleców toboły i podniosłszy kije: chciał uciekać, ale wnet przysiadł, jak zając w kotlinie; my go za kark, wytłukli dobrze i witkami do suchego pnia przywiązali, zatkawszy gębę.

— Jednak widać, że munsztuk przegryzł, kiedy tak głośno śpiewa, i gotów nam jeszcze jaką biedę sprowadzić.

— Mnie się widzi, odezwał się trzeci, żeby trzeba dojść do niego i dopłacić mu, aby cicho siedział.

— Róbcie, co chcecie, zawołał, ja idę wyszukać Krempczaka i odwiązać go.

— Stój ty głupi! zawołali towarzysze, chcesz żeby nas wydał?

— Paweł nic nie odpowiadając, szedł na miejsce, zkąd głos dochodził. Już było po północy; kierunek wiatru się zmienił, śnieg ustał i księżyc wychylił się z za chmury. Wtedy nie trudno było Pawłowi dostrzedz krzyż zwany *malowanym*, choć już dawno malowanie z niego spłukały deszcze, a nieco dalej człowieka do pnia drzewa przypartego z obwisłą głową i związanemi w tył rękoma. Paweł poskoczył ku niemu.

— To wy panie Krempski? zapytał strażnika.

— Kto tam? ach! na rany Boskie, miej nademną miłosierdzie człowieku!

— Poczekajcie, rzekł Paweł, i wyjąwszy nóż z za pasa, poodcinał nim więzy Krempskiego.

Lecz ten był już tak zdrętwiały od zimna, że kroku stąpić nie mógł, tylko zachwiał się i upadł na śnieg wilgotny.

— Zabili mnie, zamęczyli, zdrowie odjęli, zbóje!.... westchnął.

Tymczasem Paweł sięgnął do kobiałki, którą wiózł z jarmarku, gdzie była flaszka z gorzałką i bułka.

Gorzałka powróciła siły Krempskiemu.

— Słuchajno waspan, rzekł mu Paweł, szanując tym tytułem szlachcica; wyciągnąłem cię z biedy, ale mi trzymać język za zębami i tamtych nie zdradzić!

— Co, tych rozbójników?..

— No jużci—ja widzę sam, że to złe rzemiosło i już mu nigdy ręki nie podam. Piękne rzeczy, byliby człowieka na śmierć umęczyli. Ale kiedym powiedział, że ich nie zdradzę, to i wam zdradzić nie dam. Czy lepiejby wam było, gdybym was tu zostawił?..

Na to Krempski pokiwał głową w milczeniu, czuł bowiem, że lepiej już się nie mścić, ale podziękować Bogu za ocalenie. Zaczął więc

zbierać się do powstania, lecz w tem jęknął przeraźliwie; srogi ból w ręku mu dokaczał.

Złamana, pewno złamana, szepnął zcicha.

Paweł poprowadził go zwolna, i tak doszli do chaty leśniczego, który im dał koni na dalszą drogę.

Krempski był młody, bezżenny człowiek, a czując, że mu się zbiera na ciężką chorobę, zapragnął dostać się do rodziców, którzy o kilka mil ztamtąd w Troszyńskiej parafii, w szlacheckiej wiosce mieszkali. Właśnie w samą niedzielę nad wieczorem przywiózł Paweł Ignacego Krempskiego do rodziców.

Nazajutrz sprowadzono do Ignacego cyrulika, który mu krew puścił i rękę zawiązał; ręka jednak nie była złamaną, lecz tylko mocno stłuczoną. Paweł najął się do młocki u sąsiedniego szlachcica i zaglądał często do nowego znajomego, któremu życie ocalił i z którym połączyła go od tej chwili serdeczna zażyłość. Gdy nie było w szlacheckim dworku pieniędzy na jakie kupno dla chorego, u Pawła znalazła się zawsze złotówka i dwie. Ignacy dziękował, obiecując oddać wszystko razem, dziękowała i panna Krempska... a kto wie czy Pawłowi nie były najmilsze te słowa, co z ust jej wychodziły? Ale Agnieszka była to szlachecka córka, której zdawało się, że jest jakiegoś lepszego od drugich gatunku, i nietylko ona, najładniejsza z całej wsi, lecz i wszystkie inne miały ten *ambit*, żeby wolały nigdy za mąż nie pójść, niżeli pójść za kurpia.

Bo też ta biedna szlachta zagonowa, co się ani rozumem, ani obyczajami od chłopów nie różni, a w złem często ich przewyższa, wszelkiemi drobnemi sposobami stara się od nich wyróżnić. Chłopskie wesela odbywają się w niedzielę; szlachciankaby się zapłakała, żeby jej w ten sam dzień ślubować przyszło. Chłopianki szczególniej w niektórych okolicach ubierają się prześlicznie w gorsety, w różnokolorowe spódniczki; szlachcianki patrzą z góry na strój taki i usiłując naśladować panie, robią z siebie śmieszne straszydła. Jakie to tam falbany, jakie kapelusze z kwiatami występują do kościoła, to jest się czemu jak na hecę napatrzeć; a nawet panna Krempska uciułała sobie za gęsi czterdzieści złotych i kupiła jedwabną mantylkę, którą brała na największe uroczystości, oglądając się ciągle, czy na nią ludzie patrzą. Jakże więc ona miała pokochać ubogiego kurpia z puszczy?

— Jakże ci się Paweł spodobał? pytał jej raz Ignacy, wyzdrowiawszy.

— No, kurp' zwyczajnie, rzekła, dąsając się, bo miarkowała, o co chodziło.

— Z kurpiów, to prawda, ale że inny, to inny od wszystkich, rzekł Ignacy. Ja go kocham jak brata rodzonego, i widzisz kochana siostrzyczko, żebyś jeno chciała tak jak on ma szczere serce do ciebie, to wiem, żebyś była szczęśliwą, boć zgrabny i poczciwy chłopak, dalibóg!

— A niechajże cię, zaklęła ze złością panna Krempska, kiedy chcesz mi dolę zawiązać, dlatego, żeś sobie coś do tego chłopa przywidział. Ale tego nie będzie!.. już i tak wszystkie dziewczęta i chłopaki we wsi się śmieją, że do mnie się jakiś tam kurp' zaleca, i jeszcze przez to gotów się oddalić nie jeden porządny człowiek, coby przecie był dla mnie.

Jednak nie odstręczył się ten porządny człowiek, o którym panna Krempska myślała, a który trafił do jej serduszka szczególniej swemi czterema końmi, któremi zręcznie wywijał; bo zresztą był to już podstarzały wdowiec, z trojgiem dzieci pożenionych, lecz bogaty, mówiono, i to pannie zawróciło głowę. Gdy więc pan Roman wszedł do izby ze swatem i z baryłką araku, uśmiechnęła się wesoło Agnieszka, co było dobrą wróżbą. I nie zawiódł się pan Roman: panna Krempska we trzy tygodnie została jego żoną.

Wtedy Ignacy, który był już całkiem z biedy wyszedł, rzekł do zasępionego Pawła:

— Słuchaj bracie, idźmy w świat szukać chleba i szczęścia.

— Gdzież pójdziemy? zapytał ze łzą tęsknoty w oku na myśl opuszczenia okolic i osób kochanych.

— Baba z ciebie braciszku, płaczesz?... pluń na to wszystko.

Pociągniemy do Warszawki, bo w wielkiem mieście jest chleb dla każdego, a mnie do tego miasta to już tak dawno coś ciągnie, że rady sobie dać nie mogę.

I pobrawszy świadectwa od wójta, Krempski zaś jeszcze wziąwszy zaświadczenie od właściwej władzy, że gorliwie pełnił obo-

wiązki strażnika i że bierze uwolnienie od służby z przyczyny lichego zdrowia, ruszyli do Warszawy z pieniędzmi wziętemi za wolce.

Co się dalej stało, później opowiem.

O podaniach ludowych.

VII.

W podaniach osnowanych na tle religijnem, fantazya ludu naszego jest niewyczerpaną; ubarwia on wszelkie zdarzenia cudownościami. Z tego bogatego źródła czerpią dziś narodowi pisarze, chroniąc tym sposobem od zatracenia i niepamięci obfite skarby. Do rzędu tego rodzaju podań należy legenda, czyli podanie o Śtym Krysztofie.

Kiedy to było, nie mówią nam dzieje,
Ni w jakim kraju, nie głosi podanie;
Bo życie zacne dla wszystkich jaśnieje,
I cały Boży świat objąć jest w stanie.

Dość, że przed bardzo dawnemi laty,
Żył wielki olbrzym *Oferusem* zwany;
W siły on ciała był wielce bogaty,
Od wszystkich także z dobroci swej znany.

Więc choć poganin, czuł to jednak dobrze,
Że się dar niebios użytkiem bogaci,
Że siły ciała udzielonej szczodrze
Winien używać na dobro swych braci.

Póki był w domu, wytrwale pracował;
Aby wygody zapewnić dla matki,
Lecz gdy ją wkrótce ze łzami pochował,
Rzucił z boleścią zebrane dostatki,
Bo już ich widok przestał go weselić,
Kiedy się niemi nie mógł z matką dzielić.

Umarła w późnym już wieku; strata jej tak boleśnie dotknęła przywiązanego syna, że usypawszy matce grobowiec większy, niż najwyższe góry,

Usiadł był na nim, łzy lał czas długi,
Tak ciężkie żale na świat ten wywodził,
Że się z łez jego potworzyły strugi,
Że się niejeden zdrój z nich narodził.

Aż wreszcie się opamiętał, i rozważył, że co się stało, odstać się nie może, i że przystojniej jąć się pracy, coby bliźnim poszła na pożytek, a niżeli czas drogi na bezpożytecznym żalu marnować.

Jak pomyślał, tak uczynił, i poszedłszy między ludzi, zażądał od nich roboty. Dawali mu je radzi, a dawali najcięższą; lecz to wszystko było dla Oferusa zabawką, bo to był mąż takiego wzrostu, iż najtęższe sosny głową przenosił, a takiej siły, że dęby z korzeniem wyrywał. Choć więc pracował niemało i żadnej usługi nie odmówił, czuł, że większa część sił jego marniała bezpożytecznie, i że tą resztą mógłby większe usługi wyświadczać. Spytał więc ludzi, czyby nie znali kogo bardzo mocnego, do któregoby poszedł w służbę. Powiedzieli mu, iż za górami, za lasami mieszka król potężny, a także jest dzielny i mężny, że kiedy stanie we zbroi, to go się każdy człek boi, że jak świat cały, nad niego niema króla mocniejszego.

Dobrze, pomyślał Oferus, kiedy on taki mocny, to on musi wielkie rzeczy robić; pojdę ja do niego. Rad go przyjął ów możny król, i posługiwał się nim zawsze; Oferus robił, co mu kazano: karczował lasy, umacniał brzegi rzek, chroniąc pola od zalewów. Błogosławili go za to ludzie i król cieszył się takim pomocnikiem; on jednak zawsze mówił, że to jeszcze nie dość dla niego, i że podjąłby się cięższej roboty, i przyjąłby służbę u mocniejszego pana, gdyby jaki był.

Pewnego razu, kiedy król wyjechał konno ze swymi dworzanami, a Oferus szedł obok piechotą, zerwała się straszna burza:

Zawyły straszne wichury,
A jak świat długi szeroki,
Jakby z wiadra lało z chmury,
Wezbrane rwały potoki.
Trąba wietrzna młynkiem kręci,
Co pochwyci, rwie i niesie:
Chaty w polach, drzewa w lesie.
Więc król, orszak, strachem zdjęci,
Wiedząc dobrze, co się święci,
Że to prosto harce diable,
Wpośród drogi stają nagle,
I gdy trąba się przybliża,
Każdy czyni znaki krzyża,
Wiedząc, iż się tem obroni
Od złego ducha pogoni.

Widząc to Oferus, zapytał króla, dlaczegoby znak ten czynił? Znak krzyża, to najpewniejsza obrona od diabła, odrzekł król. Obrona? zawołał Oferus, pocóż ty królu bro-

nić się chcesz od niego?—Bo go się boję.—Kiedy ty się go boisz, mówił Oferus, to widać, żeś od niego słabszy. Więc, ja go poszukam, i przyjmę u niego służbę, boś ty nie jest najpotężniejszy, za jakiegom cię miał. Napróżno go wstrzymywali król i mieszkańcy, Oferus nie odstąpił od swego i poszedł szukać diabła.

I szedł długo, mówi podanie, przez pola i lasy, ciągle wywołując diabła, aż przyszedł na rozstajne drogi, i tam mu się diabeł pokazał, i czegoby żądał, zapytał.

— Czyś ty jest diabeł najmocniejszy ze wszystkich?

— Ja jestem diabeł najstarszy i najmocniejszy ze wszystkich, odpowiedział Belzebub; czego chcesz odemnie?

— Chcę ci służyć, daj mi robotę.

— A cóż za twoję służbę zapłacić? zapytał ciekawie diabeł.

— Nie chcę nic. Będę służył u ciebie za darmo, skoroś jest najmocniejszy.

— A jak długo?

— Choćby i zawsze, jeśli tylko mocniejszego od ciebie nie znajdę.

— Już o to bądź spokojny, z dumą i radością wykrzyknął szatan; więc przyjmujesz pod tym warunkiem u mnie służbę nazawsze?

— Pod tym warunkiem, nazawsze.

— I będziesz robił, co ci każę?

— Będę robił, co mi każesz, odpowiedział bez namysłu Oferus; bo jako był człowiek poczciwy, nie wiedział, iżby się znajdowały takie złe istoty, coby zamiast dobra, cnoty, na to tylko się siliły, aby ludziom złe czyniły.

Rozpoczął więc służbę u diabła, ale cieżko mu było dlatego, iż związany własnem słowem, pełnił co do joty dane mu rozkazy, i nieraz wywracał wszystko dobre, co pierwej był zrobił za czasów swej służby u ludzi. Markotno mu to było i bolało go wielce; wyrzucał diabłu, srożył się na niego, ale diabeł zbywał go krótko odpowiedzią „powiedziałeś: będę służył; słuchaj więc i rób, co ci każę.“

Biedny Oferus skrobał się w głowę i płakał nieraz nad tem, że najmocniejszym panem na świecie, jest taki zły pan. Ale dziwiło go to zarazem, że diabeł więcej złego nie broi, a biorąc niemoc jego za dobrą chęć, lepiej o nim począł tuszyć. Pewnego razu wyszedł był z diabłem na ziemię, a ten ujrzawszy Bożą mękę, wśród drogi cofnął się czemprędzej i drapnął wnogi.

Ledwo go dogonił Oferus.—Czemu tak uciekasz? zapytał.

— Bom obaczył Bożą-mękę.

— A cóż to jest Boża-męka?

— Chrystus ukrzyżowany, odparł, krzywiąc się szatan.

— Więc ty się boisz Chrystusa?.. kiedy się go boisz, mówił dalej, to znać, żeś od niego słabszy. A więc umowa nasza skończona, a ja idę szukać u Chrystusa służby.

I poszedł. A szedł długo przez pola i lasy, wywołując imię Chrystusa; lecz nigdzie nie słyszał odpowiedzi. Zmartwił się mocno, błąkał się smutnie, i usiadłszy nad brzegiem wielkiej rzeki, co środkiem jaru płynęła, płakał że nie może znaleść najpotężniejszego Pana.

Kiedy tak zafrasowany siedzi, nadchodzi pustelnik i pyta go: czem się frasujesz człowiecze?

— Szukam służby u Chrystusa, a nie mogę go znaleść. Będę robił, co mi każe, będę zabijał jego nieprzyjaciół, i burzył wszystko, jakom czynił dla szatana.

— Nie potrzebuje Chrystus, odrzekł poważnie pustelnik, iżbyś zabijał jego nieprzyjaciół.

Zdumiał się tą odpowiedzią Oferus i pomyślał: musi to bydź bardzo potężny pan, kiedy nie chce, abym zabijał jego nieprzyjaciół.

—Gdzie jest Chrystus?

— Wszędzie, odrzekł pustelnik.

— Jakżeż go poznać? zapytał coraz więcej zdziwiony Oferus.

— Poznasz go, skoro w niego uwierzysz, a uwierzysz w niego, skoro w imię jego będziesz czynił ludziom dobrze.

— Czyniłem dotąd, co mi kazano, rzecze Oferus, i nieraz burzyłem to, com pierwej stawiał, i wywracałem, com pierwej budował.

— Czyniłeś tak, boś nie znał drogi pra-

wej. Ale słuchaj: jeżeli w imię Chrystusa i dla jego miłości będziesz przenosił ludzi przez tę rzekę, w której się już wielu pielgrzymów potopiło, poznasz Chrystusa i będziesz czynił jego służbę.

Uradował się tem zapewnieniem Oferus, i gdy chciał podziękować pustelnikowi, ten już zniknął. Popatrzył za nim wkoło, a nie mogąc dostrzedz, przestał szukać i usiadł nad brzegiem, czekając pielgrzymów. Odtąd taki był rodzaj jego zatrudnienia, iż przez rzekę wszystkich podróżnych przenosił. Błogosławili mu ludzie, chcieli wynagradzać, bo tylko człowiek taki wysoki i silny jak Oferus, mógł przebywać bez niebezpieczeństwa tak rwący nurt wody. Ale Oferus nie przyjmował nigdy nagrody, i dziękującym odpowiadał: nie dziękujcie mnie, ale Chrystusowi, bo ja to dla niego robię.

Upłynęło tak czasu niemało. Rozeszła się wieść, że się Oferus znowu na ziemi pojawił; dawny jego pan, ów król potężny przysłał po niego, zapraszając go w służbę, i bogatemi nęcąc darami—ale Oferus odpowiadał zawsze jedno, że nie potrzebuję nic, bo ma służbę u Chrystusa. I był wielce z niej szczęśliwy, naprzód, że to była praca niemała i wielkiej trzeba było siły, aby się oprzeć rwącemu nurtowi, a nadto zdawało mu się, iż jest coraz bliższym poznania Chrystusa, bo czyniąc dobrze ludziom, kochał ich coraz mocniej. Pewnego razu, kiedy po ciężkim dniu zasnął, jak zwykle nad brzegiem zmęczony, usłyszał, że ktoś nań zawołał potrzykroć po imieniu.

Za trzecim razem zbudził się przecie,
Spojrzy, i widzi maleńkie dziecię,
A takie śliczne jakby jutrzenka:
Na nim z tęczowych barw jest sukienka,
Rączki na piersiach trzyma złożone,
I „przenieś“ prosi na tamtę stronę.
Chętnie się na to Oferus zgadza,
Podnosi dziecię, na barki wsadza;
I wziąwszy w silną rękę żylastą
Jako podporę, sosnę iglistą,
Puszcza się żwawo na drugą stronę
Przez bystrej rzeki wody spienione.
Ale zaledwo wszedł na pół drogi,
Chwiać mu się jakoś poczęły nogi,
Gdyż straszny ciężar barki mu gniecie;
Po całym ciele przeszło go mrowie;
A więc strwożony, zawoła: Dziecię!
Zda mi się, jesteś ciężkie jak światy!
„Bom jest nad światy, dziecię odpowie:
Jam jest Chrystusem, co poznać chciałeś,
W którego imie tu pracowałeś,
Nie biorąc żadnej za to zapłaty.
A żeś mię poznał, miłując ludzi,
Więc się sam Chrystus do ciebie trudzi,
I chrzci cię w imie Ojca i Syna,
I odpuszczona wszelka twa wina.
Biorę cię za mej łaski narzędzie,
Niechaj cię słyszą wielcy i mali,
Piastunem Bożym będą cię zwali,
Zaczem przybierzesz Krysztofa miano,
Iżby przez ciebie prawdę poznano;
I uczyć będziesz ludzi odemnie,
By miłowali siebie wzajemnie,
Że najpewniejsza do nieba droga
Kochać swych bliźnich, miłować Boga!

Jakie było życie, taka i śmierć Krysztofa. Ochrzczony tak cudownie, poszedł w świat pomiędzy pogany, bo niemógł tego ścierpieć, iżby byli ludzie nieznający prawdziwego Boga. I chodził z kraju do kraju, jak mu to Chrystus zalecił, ode wsi do wsi, i wiele dobrego ludziom czynił, a zawsze mówił, że to robi przez niego Chrystus; wzywał ich, aby nawrócili się do niego, wyrzekłszy się bałwanów. Wielu nawrócił, ale w końcu rozgniewali się na niego poganie, i za poduszczeniem swych kapłanów ukamionowali go; bo im się nie bronił Krysztof, choć był tak olbrzymiej siły, ale prosił Boga, aby przebaczył obłąkanym, niewiedzącym, co czynią.

Różności.

W Radomiu dnia 22 Maja r. b. syn krawca miejscowego Władysław Sztok lat 8 mający, kąpiąc się w rzece *Mlecznej*, zaczął tonąć. Piętnastoletni uczeń klassy 4, syn urzędnika, *Jan Szymański* zapominając o własnem niebezpieczeństwie, rzucił się w ubraniu bez namysłu wpław za tonącym, a za nim szlachetny jego towarzysz 13 letni *Jan Paprocki*, uczeń klassy 1. Dzielni ci pływacy wydobyli spólnemi siłami tonącego Sztoka, prawie już ze dna rzeki napół nieżywego, i oddali w ręce rodzicom. Czyn ten szlachetny godzien jest podania do powszechnej wiadomości, raz dlatego, aby rozbudzić w innych podobne poświęcenie prawdziwie chrześciańskiej miłości, a z drugiej strony, aby ostrzedz nieostrożnych i zwrócić uwagę tych, którzy nad niedoświadczonymi dozór mają powierzony.

DODATEK.

Dodatek do Nr. 33 Czytelni Niedzielnej z r. 1860.

WYKŁAD NAUKI OGRODNICZEJ.

Nauka 11.

O OGRODZENIACH.

12. Chociażbyśmy największej staranności dołożyli w założeniu ogrodu, zaprowadzali drzewa i krzewy, staranność będzie bezskuteczną, skoro się nie ogrodzimy odpowiednim płotem. Bez ogrodzenia dostatniego narażeni jesteśmy na straty przez szkody wyrządzone od bydła a nawet i ludzi. Z kosztem, z pracą szczepione drzewa w jeden moment mogą być zniszczone; zatem płoty są konieczne, i o nich przedewszystkiem myśleć potrzeba.

13. Aby płoty były użyteczne, powinny być robione w sposób, żeby chroniły miejsce zagrodzone od szkody, żeby o ile możność dozwala, były ozdobne, a niekosztowne. W dawniejszych czasach, gdy drzewo niewiele lub wcale nic nie kosztowało, płoty żerdziowe osadzone w słupach, oszalowane kołami były najlepsze; ale dzisiaj drzewo jest kosztowną rzeczą, a płot żerdziowy ani trwały ani ozdobny: mówić wam zatem będę o płotach, jakie byłyby najłatwiejsze dla waszych kapitałów.

14. Wymówiłem wyraz *kapitał*, który wam całkiem nieznany, a o którym czy przy nauce gospodarczej, czy ogrodniczej często się powie; przeto co znaczy kapitał, objaśnić was należy.

Rzecz, która ma wartość, za którą inną nabyć możemy, jako to: korzec żyta, miara grochu, koń roboczy, karmnik, pieniądz gotowy i tym podobne rzeczy, nazywają się *kapitałem*.

Kapitał, który nam przychodzi bez trudności, to jest gdy go mamy gotowy lub nabyć możemy, nazywa się *łatwym*. Tenże kapitał, którego użycie nam na dobre wychodzi, za który kupimy krowę, co dobrze doi, konia, co silny do pracy, postawimy dom wygodny, nazywa się *kapitałem dobrze użytym*.

Kapitał, zaś który zakopiemy pod progiem, albo w skrzyni bez użytku chowamy, nazywa się *nieczynnym* a tem samem *nieużytecznym*; gdyż pieniądz o tyle ma wartości, o ile dobrze, użytecznie użyć go możemy. Kto zbiera pieniądz na to, żeby go pod progiem zakopał, a od czasu do czasu przeglądał, to robi tak samo, jakby szkła natłukł i oglądał, czy mu się świeci.

Kapitał, który ginie bezpotrzebnie, naprzykład, gdyby kto zboże dobrze przedał na targu, połowę przepił, a drugą zgubił, nazywa się *kapitałem straconym, zmarnowanym*. Ale moi kochani, nietylko mamy i mieć możemy kapitał w pieniądzach, zbożu, bydle, koniach, wartości domu, pola; kapitał mieć możemy w rękach naszych czyli w pracy.

Ten, co z kosą lub sierpem 30 kop. na dzień zarabia, po 10 dniach ma taki kapitał, jak ten, co wywiózł na targ korzec żyta i wziął za niego 3 ruble. Ten, co zarabia, zarobkiem żywi rodzinę, uzbiera na krowę i konia, ma kapitał w ręku dobrze użyty.

Zaś jeżeli pracować możemy, a próżnujemy choć o głodzie, to mamy kapitał nieczynny, a razem i zmarnowany.

Wracając się do płotów, chcę was takich pouczyć, które będą najłatwiejsze dla waszego kapitału, to jest pracy. Widzicie zatem, że mówiąc wam o kapitałach, nie bardzo odszedłem od rzeczy, a wy zyskujecie na tem, że jak wam mówić będę o kapitałach, to nie będziecie już słuchać jak o żelaznym wilku.

15. Płoty, które dla łatwości i oszczędności są dla was najwłaściwsze, są dwojakie:

Najprzód płoty *wyplatane* — aże dzisiaj i chrust jest niełatwy, kto chce mieć podobny płot niekosztowny, niech sadzi wierzby tam, gdzie się da i o ile można; co lat 4 wierzby okrzesywać, z grubszych gałęzi robić kołki, cienkiemi wyplatać między koły w warkocz, a będzie tanio i łatwo i pięknie, a nadewszystko bardzo użytecznie.

Podobne płoty robią na koloniach niemcy na Powiślu. Wierzb tylko trzeba sadzić wiele; w poprzedniej nauce sadzenia wierzb uczyliśmy się, a miejsca na wierzby przy budynkach, przy sadzie, na drogach między polami nie zbraknie. Podobny płot aby pięknie wyglądał, trzeba kołki zabijać równo pod sznur, to jest, weź sznur tej grubości co lejcka, postaw jeden kołek przy początku płota, a drugi w miejscu, gdzie się

kończy i te dwa koły połącz wyprężonym sznurem, pod sznurem zaś szpadlem odznacz na ziemi linią tak jak sznur leżał, i w tak odznaczoną linię wbijaj kołki 4 na łokieć; koły wysokie, stosownie jak wysokim chcesz mieć płot, zaostrzone w końcu, co w ziemię idzie, a równo przyrznięte lub przycięte od góry. Między takie koły cienkie gałęzie wierzbiny wyplataj, warkocz w trzy sploty; tego splatania od pierwszej lepszej kobiety się wyuczysz. Staraj się dobierać na sploty gałązek równych, każdy splot dobijaj jeden do drugiego siekierą, to płot będzie i piękny i dychtowny, a prosię i kura przezeń nie przelezie. Na załomie, to jest, gdzie się ściana z ścianą płotu schodzi, daj małe zaokrąglenie. Jak się wprawicie, to podobny płot będzie i dobry i piękny. Podobny płot służyć może na lat 3, a najdłużej 4. To nietrwały? Otóż widzicie, to jego zaleta, że nietrwały, bo wam dostarczy wybornego, suchego drzewa na opał.

U nas w folwarkach trwałość płotu wiele znaczy, u was nie; my robotę musimy kupować i nie zawsze możemy dostać, a wy ją macie na zawołanie, bo własną. Opał nie myślcie, że to rzecz mała; obliczcie się tylko. Przed 6 laty sążeń drzewa kosztował rsr. 1 k. 20 a dzisiaj rsr. 2 k. 10; a co będzie za lat 10? Poczemu będzieciepłacić i jak daleko po nie jeździć będzie trzeba? Sadźcie wierzby: będziecie mieli swój opał, a z podobnych płotów najlepszy, bo najwyborniej wysuszony; wiecie zaś dobrze, że im drzewo suchsze, tym na opał lepsze. A dajmy, że jesteś półwłócznym gospodarzem, to możesz mieć tyle wierzb, że ani ty, ani twój syn, ani twój wnuk, bylebyś ich wyuczył drzewa stojącego nie niszczyć, drzewa nie kupią. I zaraz cię przekonam, że tak jest a nie inaczej. Na swoję potrzebę przez rok, potrzeba sążni 6. Wierzb 20 okrzesanych daje sążeń drzewa; zatem potrzebujesz rocznie okrzesać wierzb 120, abyś miał 6 sążni — aże wierzbę okrzesuje się co lat 4, zasadź wierzb 480, a będzisz miał drzewo. A czy możesz tyle wysadzić, to się spytaj siebie, że możesz, bylebyś chciał.

16. Drugi rodzaj ogrodzeń i bezkosztownych i pięknych, są *żywopłoty*. Żywopłot jest to linia wysadzona drzewami lub krzewinami, które wzrostem swoim zagradzają miejsce, stanowiąc tym sposobem płot. Aże podobny płot utrzymuje się w stanie życia drzew, przeto się *żywopłotem* nazywa. Żywopłoty można robić, biorąc młode krzewy z głogu, ostrokrzewu, grabu, lipy, cierni, rozmarynu, morwy, berberysu, jałowcu, z akacyi białej i żółtej, z leszczyny, wierzb, róż dzikich, agrestu, porzeczek, z janowca i wielu innych. Widzicie, jest z czego wybierać; ale jak dla was chcąc użytki w jednym kilka łączyć, co zawsze jest dobrą rzeczą, daję pierwszeństwo trzem żywopłotom: albo z morwy białej, albo z akacyi białej, albo nareszcie poprostu z wierzbiny.

17. Dlaczego tym trzem krzewom daję pierszeństwo, zaraz wam wytłumaczę. I tak, najprzód co do morwy: wstążki, materye, wiecie, że są z jedwabiu, zacząwszy od waszych kobiet, co każda ma za kilka rubli jedwabnych rzeczy, aż do wielkiej pani, co ma suknię, za którąby dobre cztery konie kupił. To tak moi kochani, obliczyć razem, to się ogromna summa pieniędzy uzbiera, a te wszystkie pieniądze idą daleko za morza, Bóg wie gdzie, i wiecie, kto się nimi bogaci?... cudzoziemiec bardzo daleki, albo żyd handlarz co i drogo przeda i jeszcze oszuka, zatem pieniędzy co szkoda, to szkoda; to kapitał zmarnowany. Ale jak to u nas, co to byli, są, i będą ludzie, co kraj kochają i mają myśl poczciwą, ci zatem z poczciwą myślą powiedzieli „kiedy koniecznie mamy się stroić w jedwabie, strójmyż się w swój jedwab' krajowy“— a mieć go swój możemy, jak wełnę, jak len, jeszcze go i innym dostarczyć; jakim zaś sposobum, zaraz wam wytłumaczę.

Jedwab' wyprzędza robak podobny zupełnie do liszek, co kapustę zjadają, i ten robak czy w zimnych krajach, czy gorących wyżyć może, i jak raz się do niego przyjdzie, to może się rozpleniać, jakby się u nas z dawien dawna rodził; ale ten robak żywi się tylko liściami morwy. Drzewo zaś morwy u nas może rosnąć jak sosna, jak gruszka, jak jabłko, tylko trzeba je sadzić. Z tego zatem wypada, że kto sadzi morwy, może chodować jedwabniki; z jedwabników będzie jedwab', a oprócz korzyści, która szczególniej jak dla was może być niemałą, a bez wielkich trudów i zachodów, cała robota przy jedwabnikach trwa z sześć tygodni i paradne zatrudnienie dla

starowin, co to w pole nie chodząc, garnka i z garnka pilnują. Daleko za granicą w kraju bardzo biednym, co się tylko oset i głogi rodziły, a ludzie albo z głodu marli, albo po drogach rozbijali, przez jedwabnictwo zostali i bogatymi i poczciwymi; wolą teraz dać co komu, jak rozbić na drodze. Ja wam to później przy morwie obszerniej wyłożę, wiele i jakie mieć możecie korzyści, czego się macie spodziewać.

To tylko wam dodam, że ci panowie, którzy założyli współkę, by pośpieszyć i ułatwić chodowanie morwy, mieli myśl dobrą, poczciwą; ależ też każdy, co zrozumie i morwy sadzi, przykłada się do tej myśli dobrej poczciwej, i wy się do niej przykładajcie. I dlatego to do żywopłotu was zachęcam i pierszeństwo nad innymi kładę, gdyż będzie wam dogodnie mieć liść pod ręką przy domu, choćby go i pozwolić zbierać na ten użytek, to i tak zawsze będzie dobrze. (1)

18. Morwy które chcecie mieć na żywopłot, urządźcie w sposób następujący: Najprzód poproście pana, księdza proboszcza, lub wójta, aby wam sprowadził nasienia od Spółki jedwabniczej. Łut nasienia kosztuje k. 15, jednego łuta nasienia wystarczy na 120 prętów długości żywopłotu; do tej potrzeby się stosujcie, to jest zmierzcie na żywopłot miejsce: jeżeli długie na prętów 120, kupcie łut nasienia; jeżeli 60 prętow, pół łuta; jeżeli 30 prętów, ćwierć łuta. Morwę siejcie wprzód na rozsadniku, to jest na oddzielnym zagoniku położonym ku południowi w ziemi kruchej, pulchnej, czystej, którą w jesieni skopcie na dwa sztychy głęboko, z wiosny przekopcie raz jeszcze, wyjmując korzenie perzu i chwastów; ziemię rozgrabcie czysto, żeby grudek nie było. Zagonek niech będzie na łokieć i pół szeroki. Na łut nasienia zagon tej szerokości, a 9 łokci powinien być długi. O połowie maja nasienie namoczcie przez dwa dni w wodzie miękkiej, w której rozpuścić poprzednio trochę soli. Następnie na zagonie zrób tylcem grabi cztery równo odległe linie, wsypuj nasienie równo, aby nie zawiel i nie zamało było w jednem miejscu i przyekryj ziemią przez przetak przesianą. Zagon zasiany podlewaj jak deszczu niema co trzy dni. Dobrze bardzo jest jak ziemię słońce nie pali; dlaczego dobrze jest zrobić rusztowanie nad zagonem i matami z słomy okrywać przez czas upału. Można też przykryć chwastem, albo w brzegach zagonka poutykać gałęzie z liściami lub choiną. Polewanie powtarzaj aż do połowy sierpnia, potem nie podlewaj wcale. Z chwastu trzeba pleć starannie; jak będziesz starannie robił, w pierwszym roku będziesz miał dłuższe krzewiny jak pół łokcia. Na zimę, aby myszy i zające nie uszkodziły, okryj na parę cali nad ziemią igłami z choiny. W drugim roku już się je przeprowadza w żywopłot.

19. Przeprowadza się zaś w ten sposób, który pamiętaj, gdyż ci do każdego służyć może, to jest, czy do morwowego czy akacyowego, czy wierzbowego, czy też jakiego bądź innego. Miejsce, gdzie ma być żywopłot, odznacz z jesieni; jeżeli jest to miejsce między innemi ogrodami, lub gdzie nie chcesz mieć wału, to wykop rów na łokieć szeroki i na łokieć głęboki; linią całą odznacz sznurem, aby była równą, ziemię wykopaną zostaw przed zimą, z wiosną załóż rów z powrotem, i jak ma być morwą sadzony, sadź morwy co pół łokcia—morwę z rozsadnika wyjmij ostrożnie z wszystkiemi korzonkami, nic ich nie ukracaj, tylko zasadź w linią nie głębiej jak była w ziemi, to jest korzeń niech będzie w ziemi, a drzewko ponad ziemią; obsyb ziemią, nieco naciśnij i podlej, a w kilka dni przyrznij ponad ziemią, żeby tylko 3 oczka pozostały. Uważaj tylko dobrze na roślinę, to się w przyrznięciu nie omylisz; następnie w suszę polej parę razy. Dwa, trzy lata daj jej rosnąć swobodnie, później to już jak podrośnie na dwa łokcie nad ziemią, przyrznj z góry równo jak pod sznur, to będzie rosnąć kępiasto i da ci płot gęsty. Ale te przyrznięcia rób już nie nożem, gdyż się roślina osłabia, tylko nożycami od strzyżenia wełny.

20. Po żywopłocie morwowym, zalecam

(1) Po tej nauce uczniowie moi zażądali, abym im sprowadził nasienia morwy; rozdałem dwa łuty nasienia i przepis obchodzenia się przez Spółkę jedwabniczą wydany, dlatego to dodaję: raz, żeby uczniowie moi znaleźli naśladowców, potem, żebym zachęcił szanownych kolegów, którzy się zechcą zatrudniać wykładaniem, iż do naszego ludu można mówić o każdym przedmiocie, a można być pewnym, że zechce i zrozumie.

wam *żywopłot z akacyi białej*. Akacyą białą to znacie: te kolczaste drzewa z drobnym kwiatem biało kwitnące; podobne drzewa widzicie w dworskich ogrodach, lub przy domach dróżników na szosy. Drzewo to ztąd użyteczne, że bardzo szybko i pięknie rośnie, nigdy nie wymarza, płot daje gęsty, mocny, a jak się mocno prowadzi, dostarcza w krótkim czasie w 4 lub 5 lat tyczek, których wam wiele będzie potrzeba do grochów, fasol, na paliki do drzew. Akacyą zamnożyć bardzo łatwo z nasienia, którego wszędzie darmo dostaniecie. Siać lub na rozsadnikach, tak jak morwy i też po połowie kwietnia, lub wprost w miejsce na żywopłot przeznaczone, podlać parę razy, z chwastów oplić, w pierwszym roku przykryć igłami z choiny, a w następnym roku, jeżeli z rozsadnika, przesadzić co pół łokcia. Jeżeli zaś wprost siane, przyrznąć przy ziemi, aby krzewisto a gęsto rosło. Po 3ch, 4ch latach wyrasta już kilka łokci i dostarcza wybornych tyczek na potrzeby ogrodowe, na opał zaś wybornego materyału, w pożytku dębinie się równającego.

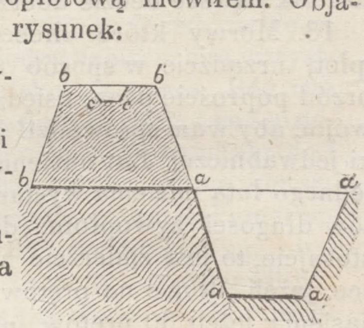
21. *Żywopłot z wierzbiny*, szczególniej w miejscach niższych jest najłatwiejszym, prędko rośnie i mieć go można z małym zachodem; robota zaś koło niego następna: Przysposobisz sobie z wiosną prętów wierzbowych jakiej chcesz grubości na łokieć, $2^1/_2$, długich, i grubszym końcem ustawisz w stojącej wodzie, gdzie trzymaj tak długo, póki nie puści nitek korzonkowych. Następnie sadź na linii żywopłotowej, zakładając na krzyż sztukę na sztukę, grubszym końcem na 6 cali zakopując w ziemię, tak, jak w tym oto rysunku:



W suszę podlej parę razy, rzadko ale dobrze z półskopka na sztukę, w następne lata przycinaj nożycami owczarskiemi z góry i z boków, a będziesz miał płot gęsty i młode gałązki przydadzą się na płoty chruściane, na koszyki i na inne gospodarskie potrzeby.

22. Co dotąd mówiłem, to było o żywopłotach sadzonych wprost w ziemię, to jest tam, gdzie idzie o miejsce; ale gdy ma być żywopłot przy drodze, przy polu, lub przy złym, szkodnym sąsiedzie, to lepiej żywopłot urządzić w następny sposób na wale: miejsce, które chcesz ogrodzić wałem, odznacz sznurem na 4 łokcie szeroko, rozdziel to jeszcze po dwa łokcie i z strony dwułokciowej od pola kop rów, wyrzucając na pozostałe miejsce na wał jeden spłaszczony u góry. Rów daj głęboki jak chcesz, boki byleby miał spadziste; wału zwierzchniego bok od rowu daj pochyły, aby brzegiem rowu jakby jednę linię stanowił, w wierzchu wału urównanego na łokieć daj mały rowek w środku i w niego pakuj sadzonki podług przepisu, jak przy sadzeniu w linią żywopłotową mówiłem. Objaśni wam tę robotę rysunek:

a, a, a , a, rów wykopany.
b, b, b, wał z ziemi z rowu wyrzuconej.
c, c, rowek do umieszczenia sadzonek.



Rów wykop z jesieni, a sadź morwy, akacye, lub wierzbę z wiosny. Jeżeli boki wału z gruntu bardzo lekkiego, to trzeba odarniować, a darninę przybijać kołeczkami; ale rzadkie miejsca przy ogrodach waszych, żeby była tego potrzeba.

Od Redakcyi.

Na skutek licznych żądań, Redakcya podaje do wiadomości, iż kompletnych egzemplarzy Czytelni Niedzielnéj, tylko z lat 1856, 1858 i 1859 po cenie rs. 2 za egzemplarz, w tejże redakcyi nabyć można.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90— kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwolona, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 26 lipca (7 sierpnia) 1860 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański*